



JULIA KSEPKO

ZAGUBIONE
SNY

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Projekt okładki i grafiki wewnątrz książki: Gabriela Rebeka Radomska

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: beya.pl

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

beya.pl/user/opinie/damsno

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2118-4

Copyright © Julia Ksepko 2026

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

PROLOG

Niebo spowiła ciemność, gdy krew spłynęła po bladym policzku dziewczyny.

Obfity deszcz runął na park, zamieniając piaszczystą ścieżkę w śliską breję. Każdy krok był walką, lecz *ona* uparcie brnęła naprzód.

Pochłaniało ją odległe, niemal nierealne doznanie. Czuła, jak przy każdym ruchu kawałki jej ciała kruszą się i znikają bez śladu w bezkresnej otchłani. Ból stawał się nie do zniesienia. Mimo to łączywie chwytiała powietrze, zmuszając się do szybszego tempa.

Z mgły niewyraźnych kształtów wyłonił się plac usiany przekwitłymi kwiatami.

Lubiła tu z nim przychodzić latem. Ze sprawcą swojej niedoli.

A jednak gdzieś w niej tliło się przeczucie, że to nie ona, lecz *on* był w potrzebie i czekał na ratunek.

Zatrzymała się raptownie i zgięła w pół, chwytając za brzuch, by uspokoić oddech i powstrzymać narastające mdłości. Gdy uniosła głowę, krople deszczu zmieszały się ze łzami i spłynęły po ustach, zbierając po drodze sączącą się krew.

– On je... zabrał. Moje... Nie pamiętam... – wychrypiała.

Przed jej oczami błysnęły jasne drobinki. Tak subtelne, że mogła zwątpić w ich istnienie, choć widziała je wyraźnie. W pewien sposób przyciągały ją do siebie, sprawiając, że czas wokół płynął wolniej.

Usłyszała niewyraźny szept. Był taki... *żywy*. Mrugnęła raz i drugi – w jednej chwili otoczenie wróciło do zwykłego rytmu.

Przechodnie przemykali pospiesznie, pochłonięci własnymi sprawami. Iskierki za to zniknęły, pozostawiając po sobie niejasne wrażenie otwierające przed nią coś więcej, coś, czego nie potrafiła nazwać. Wydawało się to nowe i tajemnicze, a zarazem miało w sobie coś znajomego.

Nie dane jej było chłonąć tego uczucia choćby przez sekundę dłużej. Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu. Gdyby wybór należał do niej, zignorowałaby go.

– Halo? Mamo, nie martw się. Jestem z Theo... Tak... tak, zaraz wracam. – Starła się, by jej głos brzmiał niewzruszenie. Oblizała krew zaschniętą w kącikach ust i upewniwszy się palcem, że nic na nich nie zostało, rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu drogi powrotnej.

W oddali rozbrzmiał sygnał odjeżdżającego pociągu.

No tak... mam Zadanie, pomyślała, choć nie wiedziała dlaczego.



ROZDZIAŁ 1

– Maya... Maya! – Ostry szept gwałtownie przerwał jej myśli.

– Obecna – wymamrotała, mrugając parokrotnie. – Co się dzieje?

– Twoje kolana... – Sam zerkał to na jej twarz, to na rozoraną skórę, ledwie skrytą pod koszulą. Siedzieli ramię w ramię przy jadalnianym stole. – Jak mama to zobaczy...

– Nie zobaczy – stwierdziła cicho, poprawiając materiał.

Sammy odchylił się od młodszej siostry z powątpieniem wymalowanym na twarzy i wrócił do przeglądania poczty. Burknął jeszcze coś pod nosem, ale Maya nie miała siły rozszyfrowywać jego słów. Tak naprawdę na nic nie miała siły.

Przymknęła oczy, próbując sobie przypomnieć, jak się tu właściwie znalazła... Ach, no tak, podmiejską koleją. Bez samochodu nie było innej opcji. Chyba że prosto przez las, ale Betty Adler szybciej sprzedałaby własne serce, niż pozwoliła córce iść samotnie przez pobliski zagajnik.

To nie tak, że Maya sama się tam pchała. Zawsze odnosiła wrażenie, że cienie tamtych drzew ją obserwują – że przesuwają się zbyt szybko, zbyt świadomie względem słońca. Mai jednak wiele rzeczy się wydawało.

Wracając więc... Skąd ten pociąg jechał?

Wspomnienie wynurzyło się po chwili z mgły, a ona zaczęła przeżywać je od nowa.



Szła niezgrabnie po parkowym deptaku, co jakiś czas potykając się o własne nogi. Jej zmysły miały się wokół nieprzetrawionych emocji, wciągając świadomość w krainę odległą od tu i teraz.

Blade iskierki ponownie zamigotały jej przed oczami. Kucnęła w obawie, że lada moment straci przytomność, lecz na przekór wszystkiemu wyteżyła wzrok.

Nawiedziły ją wizje, pojedyncze obrazy bez znaczenia, a mimo to jej serce przyspieszyło nieznacznie, gdy pojawił się przed nią czarny kot liżący futro w leniwym skupieniu, następnie zielonkawa jaszczurka rozciągnięta na kryształowym kamieniu. Był też kruk, rozrzucający dziobem metaliczne części, i sowa nad otwartą księgą, skubiąca kartki. Psowate zwierzę błądzące po pustyni usianej kośćmi oraz motyl, którego skrzydła żarzyły się w locie. Był także lis pod gwiazdami i księżycem, znikający wśród polnych kwiatów. I koń nad brzegiem morza, cały z metalu, lśniący w rytmie fal.

Obrazy nakładały się na siebie, gubiły kontury, zlepiały ze sobą i rozpływały się w płątaniu myśli. Mai wydawało się, że ziemia usuwa jej się spod stóp, że ciało nie waży nic, a powieki są zbyt ciężkie, by je unieść. Jeszcze przez moment czuła zapach mokrych liści, dostrzegając gamę ciepłych barw na drzewach, a potem wszystko ogarnął mrok i zapadła cisza.

Dopiero po chwili, która zdawała się nie mieć końca, przemówił do niej kojący, męski głos:

- *Najdroższa, wszystko w porządku?*
- *Nie wydaje mi się... Rémy – wychrypiła, pociągając nosem.*
- *Jesteś osłabiona. Czyżby... Ach tak, już rozumiem – odrzekł czule.*
- *Nie wiem, co mam zrobić. Nic nie działa... Ja chyba też przestaję.*
- *Zajmę się tym, ale nie teraz. Nie tutaj. Powietrze się zmienia...*
- *Proszę, nie zostawiaj mnie.*

– Obudź się, najdroższa.

Polecenie zabrzmiało wyraźniej niż wszystkie dotychczas wypowiedziane słowa.

Maya delikatnie uchyliła powieki. Siedziała na parkowej ławce. Deszcz ustał, a jedyną oznaką życia było stado kruków czających się wśród rudych liści i splecionych gałęzi. W ich dziobach widniały jedynie kawałki drewna i drobne owady – żadnych mechanicznych części, jak w jej zagmatwanym śnie.

Czasem zdarzało jej się tak odlatywać, ale teraz przeszła samą siebie.

Wydając cichy jęk, pochyliła się do przodu. Kolana miała umorusane błotem i krwią. I choć z ran nic się nie sączyło, skóra wokół pulsowała tępyim bólem...

To wyjaśnialoby koszulę.

Żadnego upadku nie mogła sobie przypomnieć, ale w ogóle niewiele z dzisiejszego dnia pamiętała. Prócz jednego.

Rozmowy z jej zmyślonym przyjacielem, Rémyem.

Zwykle odwiedzał ją we śnie, czasem przemykał przez myśli. Właściwie nie pamiętała momentu, w którym pojawił się po raz pierwszy. Po prostu był, kiedy ona tego potrzebowała.

Od dziecka starał się jej pokazać, że świat nie jest taki, jaki wydaje się na pierwszy rzut oka. Że pod jego powierzchnią kryją się tajemnice i magia, których jeszcze nie zdołała odkryć.

Niestety tak bardzo się mylił.

Nagrzany piekarnik zadzwonił, brutalnie wciągając Mayę z powrotem do teraźniejszości. Po jej ciele przebiegł ośliszły dreszcz.

W kuchni pachniało czosnkiem i ziołami, a ciepło unoszące się z garnków zdawało się jednocześnie kojące i przytłaczające.

Sam siedział zgarbiony, spoglądając to na otwarty przed chwilą list, to na telefon. Mama zaś krzątała się przy kuchence, co chwila rzucając okiem na podstarzały telewizor stojący na blacie. Oba ekrany migotały blado, nie oferując ani krzty komfortu.

Dźwięki stukającej łyżki wypełniły przestrzeń. W ich rytm Mayę zaczęły nawiedzać nowe wizje, przebłyski wydarzeń sprzed miesiąca – kolacja z okazji jej dziewiętnastych urodzin, w towarzystwie rodziny

i Theo, a jednocześnie nieznana jej scena, w tej samej kuchni, gdy obcy mężczyzna pochylał się nad bezgłośnie szlochającą mamą.

– Co u Theo? – spytała Betty, rozpraszając mgliste obrazy.

– Nic nowego – odparła Maya, czując ścisk żołądka.

Jeszcze jedna rzecz wydarzyła się tego dnia – nieznosnie kłująca, rozdzierająca ją od środka.

Dlaczego jednak dopiero jego imię przywołało to wspomnienie? Przecież to było takie ważne. On był taki ważny.

– Znowu zaciągnął cię do sklepu z antykami? – wtrącił Sam.

– Och, daj spokój – rzuciła mama łagodnie. – To jego zbieractwo jest nawet... słodkie.

Maya pobladła, gdy piekący ból przeszył jej przelyk.

– Nie przemarzłaś? Cała się trzęsiesz – zauważyła Betty. – Powinnaś zmierzyć temperaturę. Nie wyjedziesz na żadne studia, jeśli cię rozłoży.

Na ekranie telewizora grupa kojotów rozszarpała zwierzęce truchło. Kamera zbliżyła się do jednego z nich, ukazując pysk splamiony czerwienią. Nagle obraz zamrugał kilkakrotnie, ustępując miejsca piątkowym wiadomościom. Zniekształcony głos prezentera przekazywał informację o śmiertelnym wypadku pod kołami pociągu. Po chwili ekran całkiem wygasł, a z głośnika dobiegł pojedynczy skowyt.

Maya jako jedyna dostrzegła to zakłócenie. Naszła ją myśl, że pies, który mignął jej dzisiaj w tym dziwacznym półśnie, był w istocie kojotem.

Pocieszał ją fakt, że nawet w takich chwilach potrafiła jeszcze myśleć o sprawach przyziemnych.

– Wszystko gra – wymamrotała, bardziej do siebie.

– Może skontaktuję się z doktorem Col...

– Cholera, znowu to! – przeklął Sam, przerywając mamie.

Maya na chwilę uniosła kącik ust. Coś podpowiadało jej, że nie zrobił tego przypadkiem.

– A-a-a! Język! – skarciła go Betty, zabierając mu z rąk zaproszenie. – Kolejny bał?

– Ano. Jest nawet motyw... *Alicja w Krainie Czarów* – prychnął, kręcąc głową. – To będzie trzeci w tym miesiącu.

– Zawsze możesz powiedzieć „nie” – zauważyła mama i uśmiechnęła się figlarnie, gdy oddawała mu list. – Jeśli nie boisz się, co na to powie Ellie.

– Serce nie sługa – rzucił z cieniem humoru, wzruszając ramionami. – Poza tym nie wiem czy...

Maya ledwo odbierała bodźce z zewnątrz. Rozmowa toczyła się dalej, lecz zdawała się odległa, zupełnie poza zasięgiem jej zmysłów.

Spojrzała na okno. Świat za szybą tonął w wieczornym mroku, a niewyraźne kontury drzew zaczęły płatać figle jej percepcji. Z gałęzi powoli wyłaniał się kształt człowieka. Dwugłowego człowieka.

– Chyba pójde się zdrzemnąć – oznajmiła wartko, wstając od stołu.

– Ale obiad... – Betty uniosła brew. – Nie zbiera ci się na wymioty?

Bez wątpienia, ale Maya nie zamierzała tego zdradzać. Zbliżyła się do mamy i oparła o szafkę obok, siłąc się na naturalność.

– Byliśmy w nowej knajpie. Jedzenie okazało się paskudne.

– I to wszystko?

– Wszystko, wszystko – skłamała. Jej klatka piersiowa wypełniła się pocuciem winy, gdy chwyciła mamę za dłoń. – Nie przejmuj się.

– To moje zadanie, ukochane dziecko. – Betty wolną ręką musnęła ją po policzku. – Znowu zjadłeś coś pikantnego, prawda?

– Jak ty mnie dobrze znasz. – Maya uśmiechnęła się blado, bawiąc się palcami mamy. Zatrzymała się na serdecznym, na którym połyskiwała złota obrączka. – Ale nigdy więcej. Obiecuję.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, co tak naprawdę się dzisiaj wydarzyło.

Theo ją porzucił.

Jej bezpieczna przystań, jej *Itaka* – odeszły.

Gdy w parku po raz pierwszy odwrócił od niej wzrok, najwyraźniej zabrał ze sobą więcej, niż Maya była gotowa przyznać.

W jego kieszeni spoczywała nie tylko odpowiedź na pytanie, dlaczego postanowił się z nią rozstać, lecz także fragment jej serca, które dopiero co zaczęło bić o własnych siłach.

– Chyba rzeczywiście powinnaś się zdrzemnąć – stwierdziła Betty. – Masz przeszkłone oczy.



W łazience Maya zatrzymała spojrzenie na swoim odbiciu w lustrze. Zawsze była blada, lecz teraz jej skóra zdawała się niemal przezroczysta.

Spiersznięte usta, zapadnięte policzki i przemoknięte włosy, przyklejone w cienkich pasmach do twarzy, tylko potęgowały to wrażenie. Sięgały ledwie ramion, zbyt słabe, by mogła kiedykolwiek zapuścić dłuższe. Normalnie miały jasny odcień blond, poprządkany wyraźnym odrostem, lecz teraz wyglądały, jakby deszcz splukał z nich cały kolor. Przy każdym mrugnieniu róż na policzkach bladł, a jej postać sprawiała wrażenie coraz bardziej niewyraźnej, mizernie zanikającej z rzeczywistości.

Jedyny element, który nie stracił wyrazu, delikatnie błysnął w odbiciu lustra. Jasne, piwne oczy, rozświetlone tańczącym blaskiem lampy.

Dowód jej istnienia. Częstka siebie rzeczywiście dla niej cenna.

Ledwo odzyskała poczucie bycia. Gorączkowo zaczęła dotykać części swojego ciała, upewniając się, że wszystko pozostało na swoim miejscu.

Nie chciała przecież zniknąć... *prawda?*

Roztrzęsiona, weszła pod prysznic i odkręciła wodę. Liczyła, że jednostajny szum zagłuszy zgiełk, zarówno ten z zewnątrz, jak i w głowie. Splukując brud z kolan, zastygła, wpatrzona w siniaki i rozciętą skórę. Coś znajomego budziło się w jej wnętrzu.

Zazwyczaj zaczynało się od mdłości, zawrotów głowy i omdleń. Trafiała wtedy do szpitala, a mimo to i tak chudła i łapała każdą możliwą infekcję. Omamy i zaniki pamięci to stosunkowo nowe objawy, lecz nie wywoływały w niej większego zdziwienia. Czymże były wobec organów, które potrafiły swego czasu odmówić posłuszeństwa?

Z obawą dotknęła niewielkiej blizny w okolicach podbrzusza.

– To nie może się dzieć – szepnęła przez zaciśnięte zęby. – Nie teraz. Jeszcze nie.

Czuła, że ta decyzja nie należy do niej. W jej sercu zapłonęła iskra. Drobnym płomykiem zwiastujący prymitywne uczucie. Zwykle je tłumiała, świadoma, że silne emocje mogą zachwiać jej kruchą równowagę i drastycznie pogorszyć stan zdrowia.

Musiała więc zachować spokój. Była to przecież uczciwa wymiana. Zdecydowanie wołała apatię niż wymioty i krew.

Gniew narastał jednak z każdą chwilą. Gorący, lepki i nieuchronny. Maya dusiła się tym odczuciem.

Była też myśl. Myśl, że nic z tego by się nie wydarzyło, gdyby była zdrowa. Gdyby wszechświat potraktował ją odrobinę... wyrozumialej. Równie dobrze mógł odpowiadać za to kosmos, los, czy zapomniane bóstwa. Gdyby tylko wierzyła w takie rzeczy, mogłaby na nie zrzucić winę. Ale nie wierzyła. Więc winiła swoje ciało. Bo Theo nie potrafiła. W głębi serca nawet się mu nie dziwiła. Musiał być taki zmęczony...

Z nosa skapnęła jej pojedyncza kropla krwi, gdy w głowie rozbrzmiało przytłumione echo chrapliwego głosu:

– Jeśli trzeba, wymażemy wszystko. Przearanżujemy. Oni nie zasługują na naszą miłość...

Dziewczyna, niemal potykając się o próg, gwałtownie wyskoczyła z kabiny. Przez kilka sekund trwała nieruchomo, nasłuchując niecierpliwie, lecz panowała pusta cisza.

Nie spodziewała się, że jej alter ego okaże się aż tak jadowite. Najwyraźniej nosiła w sobie więcej goryczy, niż dotąd przypuszczała.

Gdy wreszcie uspokoiła oddech, niedbale osuszyła skórę. Upewniwszy się, że z nosa nic już nie cieknie, narzuciła na siebie stary dres ojca, który nieironicznie zwiedził więcej świata niż ona sama.

Po chwili wywlekła się z łazienki, dotarła do sypialni i z rezygnacją opadła na łóżko. Resztką sił sięgnęła po telefon i napisała do swojego lekarza prowadzącego, doktora Colmana, choć na tym etapie zasłużył na miano przybranego wujka – był przy niej zbyt długo i w trakcie zbyt wielu ciężkich, kluczowych momentów. Gdy musiała spędzać urodziny albo święta w szpitalnym łóżku, zawsze jej towarzyszył, starając się wprowadzać namiastkę normalności w miejscu sterylnej ciszy. Przymykał też oko na drobne dziecięce wybryki, kiedy razem z Sammym ruszali na szpitalne eskapady.

Teraz miała do doktora konkretną prośbę. Poprosiła go o możliwie szybki termin wizyty, podkreślając, że zależy jej na pełnej dyskrecji. Wiedziała, że jej nie odmówi.

Tak będzie lepiej. Mama ma wystarczająco zmartwień na głowie, pomyślała.

Obróciła się na bok z cichym westchnięciem i podkuiliła kolana, niemal dotykając nimi klatki piersiowej. Poczuła, jak napięcie powoli opuszcza jej ciało, otulane przez bezkresną głębię.

Zasnęła.



Pustkę przecięło falujące powietrze, a chwilę później rozdarł je przenikliwy, skrzekliwy krzyk. Wzrok Mai walczył z jaskrawym światłem, dopóki otoczenie nie nabrało konkretnych kształtów.

Wtedy ujrzała chaotyczny obraz. I choć widok ten mógł przerazić, dla niej była to senna codzienność.

Z zawrotną prędkością pędziła ku niej harpia – kobieta o poszarzałej, smukłej twarzy i ciele drapieżnego ptaka, nieco większa od zwykłego człowieka. Jej szeroko rozpostarte skrzydła rzucały złowrogi cień na piaszczystą ziemię, a pazury, ostre jak sztylety, raz po raz rozrywały podłoże, zostawiając w nim głębokie bruzdy.

Maya od razu wiedziała, z czym ma do czynienia. Już kiedyś mierzyła się z podobnymi istotami. A teraz stała prosto na drodze jednej z nich.

Nie zawahała się. Wyskoczyła wysoko w górę, po czym z impetem runęła na opierzone ciało, wgniatając harpię w ziemię. Stworzenie zawiło z bólu i zaczęło się szamotać.

– *Wiedziałam, wiedziałam!* – zaskrzeczała histerycznie harpia. – *To wasza wina! Wszystko wasza wina! Parszywi Śnią...*

Nagle ciało przeciwniczki rozplynęło się wraz z jej jękami w nicości, a jej miejsce wypełniła morska woda.

Maya słyszała jedynie własny oddech, gdy fale muskały jej kostki. Poczuła czyjaś obecność, więc uniosła wzrok.

Przed nią stał *on*. Zerkał zza okularów z typową dla siebie manierą.

– Theo – wyszeptala.

Postać zaczęła się rozmywać, aż zlała się z sylwetką mężczyzny o szarych włosach, odzianego w czarny płaszcz. W uszach Mai rozbrzmiał przenikliwy pisk, a przed oczami rozblęślo oślepiające światło.

Dziewczyna gwałtownie się odwróciła. Sceneria w mgnieniu oka przemieniła się w obszerną salę, wbudowaną w jaskinię.

Sklepienie było kamienne, a wyrastające z niego potężne kolumny z czarnego marmuru biegły do wyłożonej kafelkami posadzki, zatrzymując się tuż nad jej powierzchnią. Pośrodku sufitu wisiał ogromny, kryształowy żyrandol. Na ścianach umieszczono obrazy przedstawiające dostojne postaci w finezyjnych strojach, pozbawione twarzy.

W samym centrum stała para krzeseł i dębowy stół nakryty czerwonym obrusem. Maya spokojnie przy nim usiadła.

Masywne drzwi z ciemnego drewna otworzyły się, roznosząc dźwięk leniwego skrzypnięcia po całej grocie.

– Rémy – odezwała się, niby buńczucznie, choć oboje wiedzieli, że poczuła ulgę na jego widok. – Spóźniłeś się.

– Przecież dopiero przybyłaś, najdroższa – odparł i z gracją dosiadł się do stołu. Światło żyrandola zdawało się odbijać od jego starannie ułożonych brązowych włosów subtelnym, rudawym refleksem. – Jestem na czas.

Odziany był – jak zawsze – w wysublimowany strój kamerdynera, skrojony z precyzją mistrza. Twarz miał jasną, nad wyraz wyważoną, harmonię zaburzał jedynie zakrzywiony nos z bladą blizną przecinającą jego środek. Dumnie spoczywał na nim osrebrzony monokl przymocowany do łańcuszka.

Rémy pewnym ruchem uniósł prawą rękę. Znikąd pojawił się w niej porcelanowy czajniczek, a w drugiej już czekała filiżanka. Z wdziękiem nalał do niej parującego naparu.

– Wybacz, że ciągam cię tu i z powrotem – rzekł spokojnie. – Kurtyna bywa ostatnio wyjątkowo kapryśna.

Wręczając jej filiżankę, spojrzał na nią uważnie, niemal z czułością.

– Jak zwykle nie mam pojęcia, o czym mówisz – wystękała, po tym jak spróbowała przełknąć gorący napój.

– Czy przyszedł czas na „trwogę”? – spytał rzeczowo.

– Jeśli ci to nie przeszkadza.

– Nic mi nie przeszkadza.

Maya westchnęła. Pokręciła głową, czując bolesne uklucie w piersi.

– Dalej nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze tydzień temu planowaliśmy wynajęcie wspólnego mieszkania, a teraz... Nie wiem, co teraz.

– Przykro mi – powiedział kamerdyner z chłodną, ale nie bezosobową łagodnością. – Nie zmienia to faktu, że cię ostrzegałem.

– Oczywiście, że ostrzegałeś.

– Theo Ricci zawsze sprawiał wrażenie... nieobecnego. Nigdy nie potrafiłem dostrzec barw jego serca. Może tak właśnie miało być. Najwyraźniej nie byliście sobie pisani – stwierdził.

– Najwyraźniej – prychnęła Maya, skupiając na nim wzrok. – Rémy... Czy w twoim świecie znajdzie się coś, co zdołałoby odwrócić moją uwagę?

Bursztynowe oczy kamerdynera błysnęły żywiej.

– Jeśli harpia nie była wystarczająco satysfakcjonującym wyzwaniem, mam pewien trop, który może przerodzić się w serię naprawdę ciekawych Zadań – podjął ochotczo. – W ostatnim czasie w większych miastach pojawiają się anomalie. Na pozór chaotyczne, ale mam wrażenie, że to ślady zorganizowanej...

Maya nie była w stanie się skupić. Wszystko przyćmiewał ten upórczywy, drażniący pisk w głowie.

Niedobrze.

Ostatnią deską ratunku miała być przecież ich senna rutyna. Należały do niej również Zadania Rémy'ego. Miał tendencję, by wypowiadać to słowo dumnie, z szacunkiem. Maya też w pewnym momencie to podchwyciła. W końcu wypełniała je, odkąd tylko zaczęła miewać tak wyraźne i świadome sny. A może jeszcze wcześniej.

Gdy zasypiała, nim docierała do jaskini, zazwyczaj czekało na nią starcie z potworem, którego miała pokonać. Nie narzekała na ten układ – wręcz przeciwnie. Lubiła to. Tę adrenalinę, tę sprawczość... Dlaczego więc nawet jej własna głowa nie chciała z nią dzisiaj współpracować?

– Niestety, przyjacielu... – przerwała mu, unosząc dłoń do skroni. – Chyba przeceniłam własne siły.

Rémy zamilkł. Zazwyczaj jego oblicze przypominało niczym niewzruszoną wyważoną maskę, ale teraz coś w niej drgnęło.

– Nie przypuszczałem, że aż tak cię to rozchwieje – przyznał. – Ale jeśli taka jest twoja wola, nie będę naciskać.

Maya podniosła się ociężale z krzesła i podeszła do ściany. Wisiała na niej ozdobna kotara, za którą ukryte było przejście. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na kamerdynera z uśmiechem, który nie sięgał oczu.

– Wybacz, jeśli cię rozczarowałam.

Z trudem przekroczyła próg, nie czekając na odpowiedź.

Za zamkniętymi drzwiami znajdował się niewielki, różowy pokój. Był pełen puszystych poduszek oraz pluszaków. Przedmioty sunęły w powietrzu, odbijając się od wyściełanych pikowaną kołdrą ścian.

Maya rzuciła się w toń miękkiego morza. Tuż przed nią dryfowała zabia maskotka o absurdalnie długich kończynach. Chwyciła ją w objęcia i zaczęła się z nią unosić pomiędzy resztą przedmiotów.

– Rabarbar, jest naprawdę źle – mruknęła. – Co z tego, że tutaj ratuję sytuację, skoro w prawdziwym życiu sobie nie radzę...

W geście poddania zanurzyła się w splątanej pościeli, pozwalając na to, by puchaty materiał przesłonił jej wzrok.

W ciemności zobaczyła przeblysł nowej scenerii. Gotyckie zabudowania przeplatały się z zimnym metalem, a pod nimi ciągnął się bruk z barwnych kamieni. Pośrodku majaczył stos gruzu i złomu, a pomiędzy nimi leżało zmasakrowane, w połowie zgniecione, martwe ciało.

Zwłoki przekreśliły nienaturalnie korpus, charcząc niewyraźnie:

– *Jesteśmy niepełni... On w-wyrwał fragment z całości. Z naszego istnienia... My go od-odzyskamy. Tak! Obiecujemy... Najdroższa...*

Maya odgarnęła poduszkę z twarzy, łapczywie chłonąc różową przestrzeń.

Wtem całe pomieszczenie zadrżało, a ją bezwiednie wyrzuciło w górę. Zdołała jedynie zamortyzować uderzenie o sufit własną ręką.



– Maya, śpisz? – U jej stóp siedziała młoda kobieta, wpatrując się w nią z zaciekawieniem. – Przywaliłaś łokciem w kaloryfer.

– Ellie? Co ty tu robisz? – wymamrotała skołowana.

– Chciałam się przywitać. Ach, przy okazji przyszłam zbić twoje-go brata. – Puściła do niej oczko i energicznie wstała z łóżka. Burza

orzechowych loków opadła miękko na jej ramiona. Dziewczyna przeciągnęła palcami po włosach, choć już prezentowały się perfekcyjnie.

Maya, z niewinną determinacją, postanowiła odwzorować gest, ale jej własne pasma były zbyt splątane i suche, by uzyskać podobny efekt.

– Coś się stało? Wydajesz się przybita – zagaiła Ellie, wychodząc.

– Źle mi się spało – mruknęła, a na jej twarzy zapłonął rumieniec.

Po korytarzu rozniósł się krzyk Sama:

– Elena! Mogłaś dać znać, że przychodzisz, a nie się rozłączasz, ję-dzo wredna! Jak cię tylko znajdę...

– Nigdy się nie nauczy – zażartowała Ellie. Delikatnie przymknęła drzwi i zaczęła dyskutować z Samem. Ich głosy niosły się głucho w tle, rozmazane i pozbawione wyraźnej treści.

Maya siedziała w milczeniu, wpatrując się we własne dłonie. Ocuci-ło ją nagle kłasnieniem.

– Drzemki ci nie służą, młoda – stwierdził Sam, oparty o framugę.

– Gdzie twoja dziewczyna? – spytała cicho, marszcząc czoło.

– Na dole, przywiozła ciasto. Chodź, zjesz trochę.

– Mówiłam, że już jadłam – wymamrotała, odwracając wzrok.

– Mimo wszystko nalegam.

Maya niezgrabnie wygramoliła się z pościeli, ukradkiem wycierając o nią palce. Zbliżyła się odrętwiale do brata, który wyciągnął zgiętą rękę w jej stronę, by chwycić go pod ramię. Skorzystała z zaproszenia.

– Spakowałaś się już? – spytał Sammy, prowadząc ją do wyjścia.

– Dawno temu – przyznała, zerkając na niepościelone łóżko.

Choć nie miało to żadnego wpływu na prawdziwy świat, Maya nie mogła pozbyć się wrażenia, że nieznajomy z jej snu skończył pod całą tą kupą złomu konkretnie z jej winy. Nie była to jednak najdziwniejsza myśl tego dnia, więc zakopała ją głęboko z tyłu głowy, obok wielu innych niewyjaśnionych szczegółów. Na przykład tego, że po przebudzeniu miała na dłoniach świeżą krew.



ROZDZIAŁ 2

Zniekształcone wspomnienie nawiedziło umysł Mai.

Niewielki dworzec wyglądał bajkowo na tle złocistopomarańczowych liści. Na jedynym peronie stała pordzewiała wiata w towarzystwie zamszonej lampy i znaku z nazwą stacji: Reymond-Zacisze. Nieco dalej krył się mały budynek, jego drzwi i okiennice były zabite deskami.

Maya przyglądała się mu w milczeniu. Mroczne wnętrza dworca, przesłonięte skruszałą fasadą, także zdawało się ją obserwować.

Spomiędzy cegieł zaczęła wypływać czarna, lepka maź, która mozolnie przybierała kształt pajęczopodobnej istoty. Jej zaostrome odnóża wbiły się w moką ściółkę.

– *Tęskni-my* – wycharczało paskudztwo. – *W-wróć... do nas.*

Maya ruszyła pędem przed siebie. Jesienny wiatr smagał jej twarz, a mijany most, wzniesienia i przydrożny las zlewały się w jedno.

Wreszcie dotarła na miejsce. Z triumfem zaciągnęła się powietrzem zmieszonym z dymem ulatującym ospale z okolicznych kominów.

Promienie zachodzącego słońca przedzierały się przez warstwę deszczowych chmur, rozlewając się miękką poświatą po ka-

miennych ścianach starej daty. Wąska dróżka, ledwie widoczna spod dywanu wrzosów, prowadziła do drzwi zdobionych barwnym witrażem.

Jesień przyszła tu wcześniej, rozsiadła się wygodnie na parapetach i zapraszała do środka każdego, kto szukał schronienia przed chłodem.

Dom. Tak, bez wątplenia tym było to miejsce. I mimo wszelkich restrikcji, jakie się z nim wiązały, Maya wciąż czuła się tu bezpiecznie.

Weszła żwawo po schodkach i chwyciła za klamkę. Tuż za drzwiami stał Theo, który skrętnie zakładał swoje eleganckie buty. Właściwie to cały emanował elegancją.

Lubiła na niego patrzeć. Na jego oliwkową karnację i wąskie, srebrne oprawki okularów, które nadawały mu tego subtelnego, wyrafinowanego skupienia. Włosy, starannie ułożone, burzył jeden nieposłuszny kosmyk, który uporczywie opadał mu na czoło, dodając tym samym niezamierzonego uroku. Jego ciepłe, brązowe oczy były uważne, a jednocześnie wyjątkowo łagodne, gdy patrzył na Mayę.

– Widziałeś moją torbę z zakupami? – spytał cicho, zmagając się ze skórzanym butem. – Chyba zostawiłem ją u ciebie w poko...

Nie dokończył, bo Maya wyciągnęła ją zza pleców. Nie miała już na sobie podwórkowych ubrań, tylko przyduży, domowy sweter i luźne spodenki.

– Och, jak zawsze, krok przede mną. – Uśmiechnął się delikatnie, prostując się ze stęknieniem. – Punkt dla ciebie, *Auroro*.

Nazywał ją tak od kiedy pamiętała. Jak planetę z cykli Asimova.

– Ile razy w tym tygodniu nie mogłeś znaleźć swoich okularów? – Zaśmiała się cicho, podając mu reklamówkę z nowiutkimi koszulkami.

Theo odebrał ją jedną ręką, a drugą objął Mayę w pasie i przyciągnął ją delikatnie do siebie.

– Pomyślmy... – Jego wzrok powędrował w bok. Po chwili, nachylił się i pocałował ją w prawy policzek. – Raz... – i w lewy – ...dwa... – a potem w czoło – ...trzy.

Dziewczyna zachichotała pod nosem.

– Sześć... – mruknął niewyraźnie, muskając jej szyję.

– Theo! Już wychodzisz? – rozległ się z kuchni radosny głos Betty. – Nie chcesz trochę ciastek? Zaraz będą gotowe!

Stanęli jak wryci. Theo speszył się momentalnie, obydwójgu rumieniec przemknął po policzkach.

– Dziękuję, pani Adler! – odchrząknął, z zakłopotanym uśmiechem. – Niestety, śpieszę się! Idziemy dziś z rodzicami do teatru!

– Ach, no tak! Pozdrów ich ode mnie! – zaświergotała Betty.

Theo westchnął cicho, poprawiając okulary na nosie.

– Chyba nie wytrzymam do następnego semestru.

– Dlaczego? – Maya przekrzywiła głowę.

– Dopiero wtedy będę miał cię tylko dla siebie – szepnął.

Jej oczy rozbłyły nieśmiało w półmroku korytarza.

– No tak... ktoś w końcu musi mnie pilnować. Na kampusie czai się tyle niebezpieczeństw – odparła z udawaną powagą.

– Obiecałem twoim rodzicom. Nie mogę ich zawieść.

– Nie możesz – przyznała cicho, gładząc palcami jego policzek. – Został miesiąc. Wytrzymasz?

– Chyba nie mam wyboru. – Theo uśmiechnął się lekko, po czym nachylił się, żeby cmoknąć ją w usta. Maya przymknęła oczy.

Gdy je po chwili otworzyła, znów była w aucie, obok brata wpatrzono go w drogę zza kierownicy.

Maya czasem miewała takie wizje – zagmatwane wspomnienia przepłatane czymś... nienaturalnym. Była w stanie je znieść, dopóki mogła choć na chwilę ogrzać się w cieple, które także poniekąd oferowały.

Spojrzała jeszcze raz na Sama pochłoniętego opowieścią o planach na kolejną wycieczkę z Ellie. Przyjrzała się jego delikatnie kręconej czuprynie, która miała ten sam jasny odcień co u Betty. Piwne oczy zdradzały za to domieszkę ojcowskich genów.

Sammy był jak letni poranek, świeży i ciepły. Zdaniem Mai zastępował na całe szczęście tego świata. Podziwiała jego niezachwianą chęć, by próbować i odkrywać... Właściwie to mu tego żdziebko zazdrościła.

Uśmiechnęła się krzywo pod nosem i oparła bosc stopy o schowek na kokpicie. Na udach trzymała szkieownik.

Zanim zaczęła nowy rysunek, w lewym górnym rogu nakreśliła drobny bazgroł w kształcie gwiazdki – jej mały rytuał z dzieciństwa, odprawiany z cichą nadzieją na szczęście...

Zamarła w bezruchu, gdy dotarło do niej, że natarczywie skubie skórki przy paznokciach. Dopiero wtedy zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że naprawdę boi się powrotu na uczelnię, a konkretniej spotkania tam Theo.



Ostatnie widoczne budynki tonęły w gęstwinie drzew otulających rozległe pola trawy. Słońce muskało szczyty pagórków pomarańczowym blaskiem, powoli chowając się za jednym z nich.

Maya uchyliła okno, pozwalając świeżemu powietrzu wślizgnąć się do wnętrza auta. Jej wzrok wędrował po pasących się na łące koniach, gdy dostrzegła coś, co nie pasowało do tego idyllicznego krajobrazu. Jedno ze zwierząt przypominało maszynę.

Nie zdążyła mu się lepiej przyjrzeć, gdyż pejzaż przecięła czarna smuga wyłaniająca się z nicości.

Rodzeństwo wyprzedził mężczyzna na motocyklu. Odwrócił się na moment, spoglądając na ich auto. Maya dałaby słowo, że dostrzegła żółtawy błysk jego oczu za szkiełkiem kasku. Spięta całe ciało w odpowiedzi. Nie miała pojęcia, co strzeliło jej do głowy, ale była gotowa walczyć tu i teraz. Mężczyzna patrzył prosto na nią jeszcze chwilę, jakby również rozważał tę opcję, lecz ostatecznie przyśpieszył i zniknął za horyzontem.

– Pieprzony kretyn – rzucił Sam z przekąsem.

– Mhm... – Na twarzy Mai pojawił się pełen rezygnacji grymas. – Mama pewnie osiwiłaby na miejscu, gdyby cię teraz usłyszała.

– Tak to już jest, jak się ma złe towarzystwo – stwierdził. – Popatrz tylko, co może zrobić z człowiekiem.

– Trzymasz się głównie z prymusami – mruknęła. – Na waszych rozmówkach pewnie pijecie mleko.

– Ale tylko ciepłe. Lepiej się po nim zasypia.

Maya uniosła słabo kącik ust i ponownie zawiesiła wzrok na drodze.

Prowadziła prosto do Albatras – miasta perspektyw i pysznej herbaty.

Sam studiował w centrum metropolii, Maya zaś na obrzeżach. Jego uniwersytet dumnie reprezentował nowoczesne podejście miasta, jej za

to wtapiał się w naturalny krajobraz budynkami z ciemnej cegły, tworząc rozległy teren miasteczka studenckiego.

Właśnie tam, w akademiku, czekała na nią jej współlokatorka i pierwsza (niewyśniona) przyjaciółka, Kana.

Maya bardzo za nią tęskniła. Widziały się zaledwie kilka razy tego lata. Kana nie mieszkała ani blisko Reymond, ani samego Albatras. Maya z kolei nie miała serca opuszczać mamy, która niezmiennie się trudziła, by zatrzymać córkę jak najdłużej w domu. Na szczęście towarzyszył jej wtedy Theo. Przynajmniej dopóki wszystko nie rozsypało się na kawałki.

Milczenie zaczynało coraz bardziej jej ciążyć, choć nie bez przyczyny nikomu nic jeszcze nie powiedziała.

Jej rodzina... Potrafiła wyobrazić sobie ich reakcję z niemal bolesną precyzją.

Betty zaniechałaby wszystkiego, głosząc z nieubłaganą stanowczością swoją rację o tym, że wspólne studia były jednak błędem. Ojciec pokusiłby się o rezygnację ze swojej wymarzonej pracy za granicą, by się nią ponownie zająć. Brat, zamiast cieszyć się sukcesami i miłością, próbowałby ją bez ustanku wspierać. Życie rodzinne zostałoby wywrócone do góry nogami, a Maya znów przestałaby być osobą, a stałaby się problemem.

Zamartwianie się tym wszystkim dodatkowo wpływało na jakość jej snu. Przez nadmierny stres stawała się senna, gdy nie powinna, a gdy powinna śnić, potrafiła wpatrywać się w sufit przez pół nocy.

Nic więc dziwnego, że monotonny obraz drogi za szybą powoli ją otumaniał, aż powieki stały się zbyt ciężkie. Nie minęło wiele czasu, nim odpłynęła całkowicie – tym razem nie tylko we wspomnieniach.



Maya nie miała czasu się zastanawiać. Cień, który wyskoczył przed nią z rozchylonej szczeliny, okazał się zbyt szybki, by mogła rozpoznać, czym tak naprawdę był. Za każdym razem, gdy próbowała uchwycić szczegóły, kształt rozmywał się i pęczniał od nowych kończyn i krawędzi.

Adrenalina przejęła nad nią kontrolę. Ciało reagowało samo: unik w bok, uderzenie łokciem, zryw do przodu.

Maya potrafiła się w tym odnaleźć. W końcu w świecie snów mogła ustawić scenariusz pod własne dyktando. Wystarczyło, że wizualizowała sobie sekwencje ruchów i ataków, które widywała w dzieciństwie podczas transmisji bokserskich, oglądanych w szpitalnej sali razem z ojcem.

Jej styl walki był mieszanką inspiracji. Tata uwielbiał precyzję i siłę kick-boxingu, ale to brutalna efektywność lethwei – boksu birmańskiego – najbardziej do niego przemawiała, kiedy z zachwytem krzyczał w ekran. Przemawiała więc także do niej.

Z każdym uderzeniem pozbywała się buzujących pokładów złości, gromadzących się w niej za dnia.

Zdawała sobie sprawę, że było to co najmniej dziecinne, wręcz groteskowe, a jednak ta ucieczka dawała złudne poczucie, że tkwi w niej coś więcej niż tylko łamliwość.

Czuła, jak jej pięści rozcinają powietrze, jak kolana wbijają się w coś twardego i wilgotnego zarazem, ale obrazy ulatywały z pamięci szybciej, niż zdołały się tam zagnieździć. Nie wiedziała, czy wymierza cios, czy sama go otrzymuje. Świsł, trzask, ostry pazur muskający jej ramię, a potem dziura w świadomości.

Zostało tylko jedno wspomnienie – gdy zebrała całą siłę w nogach i kopnęła rozmazaną sylwetkę. Trafiła w coś sprężystego, a jednak kruszącego się pod naporem. Stwór zaryczał i odleciał w tył, znikając w ciemności, porwany przez samą przestrzeń. Maya nie zdążyła zaczerpnąć oddechu. Fala energii wybiła ją z równowagi i odepchnęła w ciemność rozproszoną po chwili przez ciepłą lunę światła.

Pierwsze, co dostrzegła, gdy jej wzrok przywykł do oświetlonej jaskini, to nowa aranżacja kamiennej hali. Rémy siedział na pikowanej, zamkowej sofie i czytał książkę. Jego sylwetkę okalało światło płynące z bajecznego kominka, w którym żwawo tańczyły płomienie. Ogień był żywy. Płomyki skakały na różne strony, zmieniając kształty. Przybrawszy formę lisów, ochoczo się ganiały, by następnie rozlać się i pojawić na nowo jako niewielkie żaby.

Maya podeszła bliżej i zatopiła stopy w miękkim kobiercu. W kącie sali dostrzegła poślaczane lustro. Przelotnie zerknęła na swoje odbicie.

We śnie wyglądała inaczej. To wciąż była ona, lecz przefiltrowana przez własne kompleksy i marzenia.

Tutaj miała piękne włosy. Góra wciąż opadała ponad ramiona, teraz gęsta i niesforna, jednak spod tej warstwy kolejne pasma, jasne i lśniąco, sięgały aż do łydek. Były niedbale związane w dwa kucyki.

Jej skóra nabrała subtelnego blasku. Ciało było pełniejsze, bardziej świadome swojej kobiecości. Otulała je biała, delikatna sukienka do kostek, opadająca półprzezroczystymi warstwami na biodra.

W tej odsłonie nie spuszczała wzroku, nie chowała się pod stertą luźnych ubrań i nie burczała pod nosem. We śnie wszystko wydawało się znajdować pod jej panowaniem, nawet jeśli była to tylko iluzja. To wrażenie uzależniało ją bardziej, niż mogłaby przyznać.

Przemknęła po dywanie i z gracją wskoczyła na kanapę. Kiedy obie stopy spoczęły na siedzeniu, opadła na nie miękko i wyciągnęła się wzdłuż sofy. Rémy zdawał się nie mieć nic przeciwko temu.

– Może powinnam zostać tu na zawsze – rzuciła, unosząc wzrok na sufit. Sklepienie jaskini było wykute w czarnej skale. Pomiędzy nierównościami i załamaniem majaczyło widmo nocnego nieba. Gwiazdy błyskały nieśmiało, a tu i ówdzie nawet spadały.

– Zostań. Tutaj mogę cię chronić – powiedział cicho kamerdyner.

– Przed czym? – Dziewczyna zamknęła oczy.

– Przed każdym, kto sprawia, że jesteś smutna.

– Czuję się dobrze, Rémy.

– Nigdy nie umiałaś kłamać.

Maya powoli rozchyliła powieki. Spojrzała na przyjaciela, który właśnie przewracał stronę czytanej lektury.

– Może chcesz usłyszeć kolejne opowiadanie z Krainy Snów? – zagaił bez nacisku. – Na uspokojenie nerwów.

Ach, tak. On i te jego opowieści.

Często siadali przed kominkiem, by mógł snuć swoje historie niczym niekończącą się melodię. Niektóre fragmenty zostawały z nią na dłużej, inne umykały pamięci, zostawiając po sobie niemrawe doznania i tęsknotę za czymś, co nigdy się nie wydarzyło.

Tym razem opowiedział jej o Domu Obietnic – miejscu, gdzie każdy, kto miał taką chęć, mógł podjąć się Zadania.

W podziemiach Domu miały kryć się skarby, gromadzone skrzętnie przez Mistrza Zadań, pana tego przybytku. Za sprawne przekazywanie i dystrybucję zleceń brał on dla siebie wiadomy procent.

Podobno zebrał już takie bogactwa, że jego majątek obrósł legendą wśród mieszkańców Krainy. Wielu próbowało go zdobyć, ale system ochronny był na tyle dopracowany, że każdy, kto próbował włamać się do środka, nigdy już stamtąd nie wychodził. Wkrótce po tym, gdy ktoś został pochwycony, z budynku buchał potężny ogień. Przestroga dla każdego potencjalnego złodzieja...

– Myślisz, że ich zjada? – zapytała Maya, bawiąc się złotym kosmykiem, który co jakiś czas muskał jej rumiany policzek.

– Niewykluczone. – Rémy poprawił monokl na nosie. – Może źródłem tych płomieni jest bardzo duży grill.

– Dziwne te twoje historie... A co z tropem, o którym wcześniej wspominałeś? – Podjęła nowy temat. W końcu jej ulubionym sposobem na uspokojenie własnych nerwów było zadawanie przypadkowych pytań. – On też pochodził z Domu Obietnic?

– To było prywatne zlecenie. Moje własne – odparł Rémy. – Jednakże sprawa anomalii już nas nie dotyczy. Odpowiednie służby przejęły pałeczkę.

– Służby?

Jaskinię przeszył nagle głuchy, przeciągły dźwięk syreny. Wibrował w powietrzu coraz mocniej, aż stał się nie do zniesienia, brutalnie wyrwując Mayę z objęć snu.

Zanim zdążyła w pełni się ocknąć, ich samochód minęła karetka. Migające niebieskie światło przecięło wnętrze auta, oświetlając na chwilę jej twarz i zgaszone spojrzenie brata.

Nie był to jedyny pojazd na sygnale tego dnia.



Do granic Albatras dotarli po zmierzchu. Potężne wieżowce, wyrastające ponad zatłoczone ulice, spoglądały z góry na rozciągający się pod

nimi labirynt świateł, klaksonów i przekleństw. Tabuny ludzi poruszały się ślimaczym tempem lub tkwiły w miejscu, przytłoczone napięciem sytuacji. Nie było to zwykle drogowe zniecierpliwienie, w powietrzu wręcz buzowała agresja.

Rodzeństwo utknęło w ogromnym korku, który sparaliżował główne arterie miasta. Z radia nieustannie płynęły doniesienia o serii wypadków drogowych następujących jeden po drugim. Nie musieli go słuchać, by wiedzieć, co się dzieje – mama wydzwaniała do nich bez przerwy.

– Kiedy ostatnio coś jedliśmy? – Maya niewyraźnie spytała brata.

– Wieki temu... Mogę zaproponować gotowe żarcie z całodobowego. Nie ma nic lepszego niż sztuczny makaron podgrzany w mikrofalach.

– Wolę sztuczne nuggetsy.

– W takim razie nuggetsy.



Maya i Sam siedzieli na krawężniku przed osiedlowym supermarktem. Otoczenie oświetlał im neonowy znak, mrugając leniwie niebieskim światłem. Panowała względna cisza, gdzieś tam tylko było słychać odgłosy rozrehotanych ludzi wracających z imprez. Rodzeństwo przyglądało się im w ciszy, popijając zmrożone napoje.

Po drugiej stronie ulicy na chodniku pojawił się czarny kot, kroczący dumnie przed siebie. Maya zaczęła odprowadzać go wzrokiem, upewniając się, czy nie potrzebuje pomocy.

Kocur wyglądał na zdrowego i zadbanego. Zanim zlał się z ciemnią bocznej uliczki, odwrócił się w stronę Mai. Jego oczy zaświeciły się odbitym blaskiem neonów. Wyglądały jak dwa puste, niebieskie okręgi.

Dziewczyna mocniej zacisnęła palce na papierowym kubku. Odważnie przeciągała się, dziwnie znajome spojrzenie zwierzęcia. Zmęczenie z pewnością zrobiło swoje, ale była gotowa przysiąc, że usłyszała cichy śmiech, nim kot wtopił się w ciemność.

– Wierzysz w przeznaczenie, Sammy? – spytała bez namysłu.

– Mówisz o ludziach? – Uniósł brew.

– Na przykład.

– Wierzę, że każdy w pewnym momencie spotyka odpowiednie dla siebie osoby – odparł po chwili spokojnie. – Nie nazwałbym tego jednak przeznaczeniem.

– Dlaczego? – dociekała cicho.

– Bo to człowiek ostatecznie podejmuje decyzję. – Westchnął, patrząc przed siebie. – Nie kosmos czy inne cuda.



Maya przekroczyła próg, licząc po cichu, że Kana już dawno temu zasnęła. Współlokatorka błyskawicznie rozwiała tę nadzieję, rzucając poduszką, która śmignęła w powietrzu i trafiła Mayę prosto w ramię. Następnie, jak gdyby nigdy nic, Kana rozsiadła się wygodniej na łóżku i rzuciła teatralnym tonem:

– No proszę. Kogo my tu mamy.

Nawet w wyświechtanej, przydużej pizamie wyglądała tak... świeżo. Jej twarz, o łagodnych rysach i zadartym podbródku, zdołał smukły nos i wachlarz ciemnych rzęs. Lśniące, proste włosy opadały swobodnie na wszystkie strony, a delikatna grzywka zasłaniała gładkie czoło.

– Szczerze koleżankę przepraszam, ale wydarzył się wypadek na drodze – zameldowała Maya, stając na baczność w progu. – Właściwie, wypadki...

– Wypadek? Ale nie braliście w nim udziału? – Kana momentalnie spoważniała. – Mam nadzieję, że twój brat jest cały!

Zmęczenie na twarzy Mai ustąpiło miejsca grymasowi pełnemu rozczarowania.

– A ja to co? – spytała, wskazując na siebie.

– Przecież widzę, że nic ci nie jest – odparła Kana, mrugając kilka razy z udawaną niewinnością.

– Ale jak się za to wymęczyłam... – Maya z przesadnym jękiem osunęła się na podłogę.

– Właśnie widzę. – Kana zgarnęła za ucho hebanowe kosmyki i zsunęła się z łóżka, by do niej dołączyć.

– Cześć – szepnęła miękko. – Co słychać tutaj, na dole?

– Niewiele – odparła Maya. – Tylko pajak, którego nie udało ci się dopaść w zeszłym semestrze, przesyła ci pozdrowienia spod łóżka.

– Mam nadzieję, że ukąsi cię dzisiaj w nocy – zagroziła dziewczyna z czułą zadziornością. – A wracając... co tak właściwie się dzisiaj wydarzyło?

– Przecież mówiłam. Wypadek. – Maya rozłożyła się bezwładnie na dywanie i westchnęła. – Utknęliśmy w ogromnym korku. Ludzie byli wściekli.

– Ale taki raban o zwykłą stłuczkę?

– A bo ja wiem – mruknęła. Sytuacja, choć świeża, już zaczynała rozmywać się jej w pamięci. – Czy to ma w ogóle jakieś znaczenie?

– Hmm, chyba nie – odparła Kana, wpatrując się z zamyśleniem w swoje paznokcie. – Wiesz, jestem strasznie ciekawska.

– Nigdy bym nie powiedziała... – Maya uśmiechnęła się pod nosem.

Przed oczami zamigotały jej szkarłatne błyski. Zaraz potem w uszach rozbrzmiał przytłaczający szmer przypominający niewyraźny szept.

– Co jest? – spytała Kana, przyglądając jej się uważnie.

– Skurcz. Jestem tak zmęczona, że nie ruszam się stąd aż do przerwy zimowej – mruknęła, ignorując nieprzyjemne doznanie.

– Zrozumiałe. – Przyjaciółka przeciągnęła się, sięgając po rzuconą wcześniej poduszkę, i ułożyła ją sobie pod głowę. – Chcesz pogadać o czymś jeszcze, gwiazdko? Bardzo chce mi się spać, ale skoro już się pojawiłaś, mogę poświęcić ci swój cenny czas.

Maya spojrzała na swoją nocną szafkę. W pasteloworóżowej ramce dumnie szczyrzył się przewodniczący roku, Kim-jin Reigh, z gigantycznym, pluszowym kaczoem pod pachą. Obok niego stały jeszcze cztery osoby z zeszłorocznej grupy projektowej: imponująco wysoka Amelia, Kyle, przymykający jedno oko przez oślepienie fleszem, oraz Kana obejmująca Mayę od tyłu.

Jej pierwsze oficjalne wyjście z nową paczką znajomych.

Maya nie mogła pozwolić na utratę tego namacalnego uczucia. Uczucia, że *przynależy*. Ceniła je bardziej niż cały oniryczny wszechświat, tak pieczołowicie budowany we własnej głowie.

Ta myśl pchnęła ją w stronę szczerości – choć tylko połowicznej. O jej słabym zdrowiu żaden ze znajomych nie mógł się dowiedzieć. Wtedy

ich spojrzenia by się zmieniły. Byłyby nasączone tą dziwną mieszanką współczucia i strachu. Wolała tego unikać.

Kana, jak to Kana, podeszła do całej sytuacji na swój sposób. Uznała, że dla przywrócenia dobrej energii zapali kadzidło na parapecie. Zaproponowała także postawienie kart Tarota. Sporo tego wieczoru mówiła, a właściwie to fukała. Była gotowa również na rękoczyny, na co Maya odpowiedziała tylko cichym śmiechem.

Co za szczęście mieć obok siebie taką Kanę, pomyślała czule.

Przyjaciółki rozmawiały ze sobą, dopóki obie nie usnęły. Tej nocy Maya śniła o mieście z miedzi i pająkach. Całej masie pajaków.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Maya Adler wreszcie jest wolna. Krainę Snów, świat, który wymyśliła w dzieciństwie, zamierza zostawić pod grubą kołdrą i skupić się na prawdziwym życiu.

Wystarczy jednak jeden wrześnieowy wieczór, by stare lęki i wyniszczająca choroba powróciły silniejsze niż kiedykolwiek.

Maya ucieka więc tam, gdzie ma jeszcze coś do powiedzenia. Do własnych snów. Tyle że tym razem wszystko wydaje się inne.

Wyśniony przyjaciel twierdzi, że Kraina Snów nigdy nie była fikcją. I teraz potrzebuje jej pomocy.

Granica między snem a jawą zaczyna pękać, a pradawne intrygi coraz śmielej przenikają do rzeczywistości, zabierając ze sobą niewinne życia.

Co jest prawdą, a co złudzeniem? Komu ufać, a kto kłamie? Czy uczucia, które rodzą się we śnie, można traktować jak prawdziwe?

Gdzieś tam, po drugiej stronie powiek, czekają odpowiedzi. Wystarczy tylko... zamknąć oczy.

Patroni medialni:



beyA 14+
beyA.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-2118-4



9 788328 921184

cena: 54,90 zł